

## *Przedwojenne Muzeum Ks. Lubomirskich – sensacje w cieniu prasy lwowskiej*

Szanowni Państwo,

tytuł tego wystąpienia wskazuje dwie instytucje - mówiąc w uproszczeniu - które będą stanowić ośnowę dla poruszanych zagadnień dotyczących zabytków i ludzi, którzy z nimi się zetknęli. I Muzeum Ks. Lubomirskich i prasa lwowska to zjawiska, instytucje, kolektywy nieco zapomniane z racji swego dawnego pochodzenia i umiejscowienia, dlatego więc krótko je przedstawię i scharakteryżuję. Muzeum Lubomirskich zapoczątkowała bożonarodzeniowa umowa ks. Henryka Lubomirskiego z hrabią Józefem M. Ossolińskim w 1823 r. Na mocy tej umowy utworzono w Ossolineum zbiory o nazwie *Musaei Lubomirsciani* złożone pierwotnie z zabytków ofiarowanych przez księcia Lubomirskiego. Do otwarcia Muzeum i pełnego jego funkcjonowania potrzebne było utworzenie Ordynacji Przeworskiej, mającej finansować cały Zakład Narodowy. Liczne przeszkody natury politycznej, prawno-gospodarczej i biurokratycznej spowodowały długie opóźnienie w realizacji tego celu. Ordynację cesarz Austrii zatwierdził dopiero w 1868 r., Muzeum Lubomirskich zaś otwarto dwa lata później. Było to pierwsze muzeum we Lwowie. Trzonem ekspozycji stałej były Galeria malarstwa polskiego i europejskiego oraz zbrojownia. Na drugim planie, bardziej w sensie aranżacyjno-technicznym, ale w wymiarze historyczno-narodowym mającym pierwszorzędne znaczenie, były polskie pamiątki historyczne w postaci relikwii wielki Polaków, orderów, pieczęci, numizmatów, pierścieni itp. Ważną cezurą w historii Muzeum jest rok 1928, kiedy powstała stała i pierwsza taka w Polsce, bogata ekspozycja numizmatyczna ilustrująca historię polskiego mennictwa na tle ogólnej historii monet. Muzeum mieściło się w lewym skrzydle ZNiO, patrząc od głównej ulicy. W 2007 roku Muzeum Ks. Lubomirskich przywrócono w strukturze ZNiO w oparciu o zachowane i kontynuowane zbiory muzealne we wrocławskim Ossolineum. Przejdźmy teraz do tematu prasy. Nie trzeba tu oczywiście przypominać szerzej o bogatej tradycji kulturowej, religijnej i etnicznej Lwowa. Był to jeden z najważniejszych ośrodków naukowych i wydawniczych w Polsce. Działo prężne środowisko dziennikarskie, prasa lwowska należała do najbardziej stabilnych w Polsce: występowało tu zjawisko długowieczności prasy; funkcjonowało dużo starych pozycji prasowych od czasów zaborów. Przez okres dwudziestolecia międzywojennego przewinęło się ponad 900 tytułów prasowych, choć spora część z nich była bardzo ulotna, nie trwająca dłużej niż rok. Niemal każda grupa, czy to polityczna, czy etniczna, czy literacko-artystyczna, czy inna, miała swój głos w postaci prasy we Lwowie. Pod względem czytelnictwa najaktywniejsza była inteligencja. W 1921 r. wśród 220 000 mieszkańców było ponad 50 tysięcy pracowników umysłowych. Należy jednak pamiętać, że najwięcej mieszkańców Lwowa miało wykształcenie co najwyżej początkowe i własni ci ludzie stanowili największy potencjał czytelniczy. Fakt ten wpływał, może nawet znacząco, na wybór podejmowanych tematów przez prasę lub sposób ich prezentacji. Jeśli chodzi o Ossolineum, prasa lwowska od początku istnienia Biblioteki była bardzo zaangażowana w śledzenie jej rozwoju. O ile w czasach zaborów dziennikarze skupiali uwagę bardziej na sprawach żywotności Zakładu i wszystkiego tego, co stanowiło podstawę tej żywotności, o tyle w wolnej już Polsce akcent prasowy przesunął się raczej w stronę spraw organizacyjno-naukowo-wydawniczych Ossolineum. Prasa międzywojenna mianowała się surowym sędzią, nie mającym tolerancji dla żadnych pomyłek czy wpadek. O tym Muzeum Ks. Lubomirskich boleśnie przekonało się na własnej skórze w roku 1927 - w sprawie, która

zaczęła się jeszcze w ostatnim kwartale 1926, a zakończyła, czy też rozwiązała się w 1928 r. O tym teraz będzie bliżej, stosunkowo jak najbliżej. Zacznę jednak od prezentacji zabytku, w końcu, to właśnie tego typu przedmioty są tu inspiracją i kanwą dla opowieści. Nota bene to jedyny eksponat stanowiący wątek poruszanych przeze mnie wydarzeń, który do dzisiaj zachował się w zbiorach Muzeum ksiąg Lubomirskich. Jest to medal ślubny wybity w 1725 r. na okoliczność mariażu króla Francji Ludwika XV z królową Marią Leszczyńską, córką króla Polski Stanisława I. Na awersie widnieje profil głowy młodego, bo 15-letniego Ludwika wraz z jego tytułaturą królewską. Na rewersie widzimy antycznie-klasycystyczne ujęcie młodej pary siedzącej na małym dwukołowym powozie, może rzymskiego typu *cissium* lub *essedium*, zaprzęgniętego w dwa łabędzie, które całują się dziobami. W otoku rewersu łacińska sentencja „CONVENIUNT ET IN VNA SEDE MOTANTVR MAIESTAS ET AMOR”, czyli w wolnym tłumaczeniu: władza i miłość pasują do siebie i idą wspólną drogą. Wizerunek rewersu pełni tu zatem rolę emblematu wyrażonej sentencji, która jest nota bene antyfrazą, a więc zaprzeczeniem, poetyckiego wersu zaczerpniętego z *Metamorfoz* Owidiusza. Jeśli obserwującemu wizerunki awersu i rewersu wydaje się, że różnią się one poziomem rzeźby (np. w liternictwie inskrypcji) oraz stylem, to trzeba przyznać mu rację i potwierdzić, że nie ulega tu złudzeniu. Otóż medal ten został wykonany przez dwóch medalierów, ojca i syna. Autorami byli Georg Wilhem i Andreas Vestnerowie, grawerzy z Norymbergii. Rewers sporządził syn Andreas, wówczas 18-letni artysta, który pierwsze zamówienie publiczne wykonał już w wieku 15 lat – jak Michał Anioł w dziedzinie rzeźby. Medal, o którym tu mowa, bito w srebrze i złocie, nasz jest złoty, mający wagę 6 dukatów. Złote egzemplarze są niezwykle rzadkie, nie ma żadnego w najlepszym zbiorze numizmatycznym w Polsce, czyli w zbiorach Emeryka Hutten-Czapskiego, ani nie ma go w bogatym zbiorze Zamku Królewskiego w Warszawie. Najśłynniejszy polski numizmatyk Marian Gumowski widział tylko jeden egzemplarz złoty w 1918 r., należący prywatnie do lwowianina Aleksandra Czołowskiego i właśnie ten okaz trafił do Muzeum Ks. Lubomirskich w 1927 r., ofiarowany przez wyżej wymienionego właściciela. Dlaczego uczyniono tak cenny dar dla Ossolineum? Odpowiedź jest kluczem do pierwszej historii, z którą chcemy się tu podzielić z Państwem. U podłoża sprawy leżało bardzo ważne wydarzenie państwowe zaplanowane na rok 1927 – sprowadzenie szczątków Juliusza Słowackiego z Paryża na Wawel i dokonanie powtórnego pogrzebu poety z terminem wyznaczonym na 28 czerwca 1927 r. Uroczystości oficjalne miały być zapoczątkowane dniem 14 czerwca tj. rozpoczęciem transportu morskiego trumny z Francji). W kraju towarzyszyć temu miały liczne organizowane przedsięwzięcia, w tym wystawa poświęcona Słowackiemu w Ossolineum, które nazywane było Domem Słowackiego z racji przechowywanych tu autografów literackich oraz dzieł sztuki i pamiątek związanych z osobą poety. Już od 1926 roku w związku z przygotowaniem do wystawy Ossolineum publicznie apelowało do rodaków o wypożyczanie lub ofiarowywanie pamiątek, listów itp. dot. osoby Słowackiego. I właśnie w takich okolicznościach, w takim klimacie Ossolineum otrzymało 25 października 1926 roku niebywałą ofertę od Aleksandra Czołowskiego. Ofertę bezpośrednio przyjmował kustosz Mieczysław Gębarowicz. Obaj panowie byli tu obok dyrektora Ossolineum Ludwika Bernackiego, głównymi bohaterami tej całej muzealno-medialnej potyczki, więc koniecznie trzeba przybliżyć sylwetki obydwojch. Zacznę krótko od Gębarowicza, kustosa i kierownika Muzeum Ks. Lubomirskich od 1924 r. Na zdjęciu wykonanym w 1926 r. Gębarowicz prezentuje twarz o szlachetnym i trochę tajemniczym wyrazie. Był to historyk sztuki, niezwykle

uzdolniony naukowo, tajny dyrektor Ossolineum w okresie okupacji niemieckiej Lwowa w latach 1941-1944. Po 1944 r. całe swoje życie osobiste i zawodowe postawił na jedną, ossolińską kartę – pozostał do końca życia we Lwowie, by być jak najbliżej zbiorów dawnego ZNiO, by w pewnym sensie strzec polskiej, narodowej spuścizny przejętej przez ZSRR. Uważam, że o tak kryształowej postaci najlepiej mówić krótko lub pisać sążniste książki. A teraz o Czołowskim, nieco zapomnianej postaci, która doczekała się jednak dwóch biografii (żadna nie wspomina o incydencie, który jest meritum tego wykładu). Aleksander Czołowski był historykiem mającym znaczny dorobek naukowy. W 1927 roku piastował urząd dyrektora lwowskich Muzeów Miejskich, w skład których wchodziło Muzeum Narodowe Jana III, Galeria Obrazów, Muzeum Przemysłu Artystycznego, a wkrótce miało wejść i Muzeum Historyczne Lwowa). Oprócz tego Czołowski zarządzał Archiwum Miejskim Lwowa. Zasiadał w rozlicznych komitetach, towarzystwach i innych organizacjach związanych z życiem naukowym i kulturalnym Lwowa i prowincji. Był jednym z członków komisji rewindykacyjnej powołanej w celu odzyskania zbiorów z Rosji po traktacie ryskim. To właśnie Czołowski jako delegat lwowski odebrał krzyż *Virtuti Militari* z rąk naczelnika Józefa Piłsudskiego, nadany miastu za obronę wojenną w latach 1918-1920. Podczas ceremonii udekorowania herbu Lwowa krzyżem *Virtuti Militari* przez Piłsudskiego, Czołowski znowu był bohaterem spektaklu - trzymał przed sobą gipsową formę herbu Lwowa. Ale dyrektor lwowskich muzeów był jak medal, który ma swój awers i rewers. Lwowską tajemnicą poliszynela była działalność kolekcjonerska Czołowskiego. Działalność naprawdę na wielką skalę, rozwijana jeszcze od czasów, kiedy pracował on jako galicyjski konserwator zabytków. Dzięki licznym, urzędowym objazdom i kontaktom nabywał prywatne archiwalia i muzealia. Faktem jest to, że wiele takich materiałów uratował przed zniszczeniem czy rozproszeniem, ale faktem również jest to, że zbiory te trafiały do jego mieszkania, a nie do zbiorów instytucjonalnych. Sam uważał, iż jego kolekcjonerstwo nie wchodziło nigdy w konflikt z jego urzędem i że jego sumienie pod tym względem było czyste – tak to wyraził we wstępie do swego testamentu. Czołowski bywał też niejednokrotnie czarnym bohaterem prasy lwowskiej. Kiedyś było o nim głośno, gdy nie wywiązał się z jakiejś dyplomatycznej sprawy honorowej. Innym razem zarzucono mu, że wraz z prezydentem Lwowa lekką ręką wyrzucił dużo pieniędzy samorządowych na kolekcję obrazów i antyków, która nie była tego warta. W czasie pierwszych rządów ZSRR we Lwowie w roku 1941 Czołowski sam zgłosił się do radzieckiej partii z informacją, że znalazł materiały źródłowe do pobytu Lenina we Lwowie w trakcie I wojny światowej. Podobno jego skromnemu pogrzebowi w 1944 r. towarzyszyła asysta ukraińskiego oddziału SS-Galizien – być może w hołdzie dla zasług: Czołowski ratował zbiory ukraińskie przed grabieżą Rosjan podczas I wojny światowej. Właśnie ten nieco dwuznaczny człowiek o ugruntowanym autorytecie naukowym i kolekcjonerskim oraz silnej pozycji urzędowej w mieście, zjawił się u początkującego, ale świetnie rokującego kustosa Mieczysława Gębarowicza z propozycją sprzedania Ossolineum portretu młodego Juliusza Słowackiego w wieku ok. 15 lat, malowanego z natury przez nieznanego malarza. Była to oferta nie do zlekceważenia. Jak twierdził potem Czołowski - Gębarowicz przez trzy tygodnie badał, analizował, porównywał i konsultował ten obraz. Czołowski nie twierdził, że jest to na pewno portret poety, ale sugerował to wyraźnie, dodając do oferty papiery po Działyńskich związanych z rodziną Słowackich. Papiery te Czołowski miał nabyć niegdyś razem z tym portretem. Po badaniach i namyśle Gębarowicz zaproponował 400 zł za ten obraz. Cena wynosiła zapewne mniej niż miesięczna pensja zamożnego Czołowskiego.

Być może kwota zaproponowana przez kustosa wyrażała margines niepewności co do autentyczności pochodzenia obrazu. Za kolejny wyraz tej ostrożności można by uznać brak wpisu obrazu do inwentarza – otrzymał jedynie numer akcesyjny w księdze wpływów. Pozostaje też zagadką, dlaczego dobrze sytuowany Czołowski nie zdecydował się ofiarować tego obrazu, zamiast występować jako kupiec. W każdym razie Ossolineum nabyło ten obraz 18 listopada 1926 r. i umieściło go na wystawie poświęconej Słowackiemu. Trwała ona od 14 czerwca do 13 lipca 1927 r. Zyski z wystawy zwróciły koszty jej urządzenia i wydania katalogu towarzyszącego wystawie. Ekspozycja cieszyła się dużą oglądalnością. Nowy portret Słowackiego, nikomu do tej pory nieznan, okazał się hitem wystawy. Dzieło to doskonale wpisywało się w lukę chronologiczną, jeśli chodzi o znane portrety poety z różnych okresów jego życia. Obraz nie przedstawiał wysokiego waloru artystycznego, natomiast jego wartość historyczno-pamiętkowa była nie do przecenienia. Ale czar jego przysł jeszcze w trakcie wystawy. Otóż jeszcze w okresie czerwcowym jedna z osób zwiedzających ekspozycję poinformowała dyrekcję ZNiO, że portret nie dotyczy Słowackiego, ale przedstawia pierwszego, zmarłego przedwcześnie, syna Jana Machana, znanego chirurga lwowskiego i wykładowcy na wydziale medycznym we Lwowie na początku XIX wieku. Osoba informująca miała przedstawić również dowód na to, że obraz ten długo był w posiadaniu rodziny Machanów i został sprzedany antykwariuszowi, od którego potem Czołowski nabył ten obraz w Lwowie, choć on twierdził że zakupił go na Ukrainie. W Ossolineum sporządzono protokół tego ustnego oświadczenia – niestety nie zachował się w aktach tej sprawy. Zgłoszenie to następnie jeszcze poddane weryfikacji, utwierdziło dyrekcję Ossolineum, że ponad wszelką wątpliwość portret Słowackiego nie jest autentycznym, lecz zwykłą omyłką, lub co gorsza, celowym wprowadzeniem w błąd. 6 września 1927 r. po niecałych dwóch miesiącach od zdemaskowania obrazu Gębarowicz zwrócił się do Czołowskiego z żądaniem anulowania całej umowy. Pismo napisano w ostrym tonie. Postawiono Czołowskiemu zarzut świadomego, podyktowanego złą wolą wprowadzenia w błąd. Adresat zarzutu miał więc prawo poczuć się oskarżonym o wyłudzenie pieniędzy lub o zamiar poniżenia Zakładu Narodowego. Trudno powiedzieć czy Ossolineum naprawdę dawało wiarę swym oskarżeniom, czy po prostu zdecydowało się na użycie bolesnej perswazji. Dwa dni później Czołowski bez żadnego komentarza zwrócił pieniądze uzyskane za obraz, jednocześnie odbierając, choć nie osobiście, nieszczęsny portret. Cztery dni potem Muzeum Ks. Lubomirskich otrzymało przekazem od Czołowskiego złoty medal, o którym wyżej była mowa. Przekazowi nie towarzyszył żaden specjalny komentarz, kontekst był oczywisty. Jak cenny, jak rzadki był ten ekspicyjny dar dla Ossolineum, o tym Muzeum na pewno wiedziało, gdyż posiadało już srebrny egzemplarz. Medal ten nie był notowany przez dwa najważniejsze, dobrze znane, polskie katalogi medalierstwa i mennictwa: 5-tomowy katalog Emeryka Hutten-Czapskiego i 4-tomowy katalog Edwarda Raczyńskiego. Dociekając bardziej można było sięgnąć po francuski katalog Godonnesche'a o medalach za panowania Ludwika XV", wydany w 1736 r. Również to dzieło nie rejestrowało tego numizmatu wśród wcale licznych medali wybitych z okazji królewskiego małżeństwa. Niewykluczone więc, że hojna donacja Czołowskiego zatarała złe wrażenie w Ossolineum. Ale bieg całej sprawy już od pewnego czasu znajdował się poza kontrolą ZNiO i dyrektora muzeów lwowskich. Fama rzekomego portretu Słowackiego, wzbudzając sensację, zaczęła się szybko rozchodzić po Lwowie. Podobno treść spisanego wspomnianego protokołu również dostała się do obiegu. 9 października 1927 r. sam Kurier Warszawski dzięki

doniesieniom swego lwowskiego korespondenta ujawnił sprawę kupna fałszywego portretu. Prasa lwowska wzięła się za tę sprawę w kontekście niekorzystnym bardziej dla Czołowskiego. Podniesiono zarzut próby wyłudzenia lub złośliwej mistyfikacji. Sprzedawca portretu podjął tym razem walkę, choć nierówną z racji tego, że prezentował w tym sporze wyłącznie siebie samego, Ossolineum zaś występowało jako instytucja. W gęstniejącej atmosferze skandalu Czołowski zrezygnował z godności wiceprzewodniczącego i członkostwa w Lwowskim Kole Bibliotekarzy Polskich, kierowanym przez nota bene dyrektora Ossolineum Bernackiego. Jednocześnie zaproponował by w ramach Koła zorganizować sesję w sprawie spornej. Bernacki przyjął rezygnację Czołowskiego, ale odmówił urzędzenia sesji z powodów zarówno formalnych, jak i merytorycznych. Dał jasno do zrozumienia Czołowskiemu że to z winy jego niewstrzemięźliwego języka sprawa doszła do publicznej opinii i że przez to również Zakład znalazł się w małym ogniu krytyki. Bernacki uznał, że Zakład nie jest stroną w tym sporze, ale jedynie świadkiem – świadkiem w domyśle kompromitującego zachowania Czołowskiego. 5 listopada lwowska gazeta Sprawiedliwość pod złośliwym tytułem „Sobowtór Słowackiego na lwowskiego wystawie” sprawę określiła jako kompromitację lwowskich znawców sztuki i pikantny skandalik muzealno-artystyczny. W artykule zaprezentowano krótko również tłumaczenia obu stron. Ossolineum starało się wykazać, że obraz był już wcześniej w handlowym obiegu i dopiero Czołowski awansował ten obraz na portret Słowackiego, Czołowski zaś twierdził, że nigdy za tę atrybucję nie ręczył, ale pozostawił ją znawstwu kustosa Gębarowicza. 2 dni po tym artykule dyrektor Ossolineum zagroził Czołowskiemu, że jest gotów rozszerzyć polemikę na łamach najważniejszych dzienników lwowskich i dał mu ultimatum 10 dni na przeniesienie sporu do rozstrzygnięcia przez jakąś poważną instytucję we Lwowie. Bernacki tłumaczył swoją propozycję troską o dobre imię - jak to określił - reprezentanta zbiorów miejskich. Czołowski nie w ciemną bity zripostował, że i on pragnie uniknąć rozgłosu, który mógłby być niepożądany dla Muzeum Lubomirskich. Zadeklarował przedłożyć pisemnie sprawę do lwowskiego Towarzystwa Historycznego, co uczynił jeszcze tego samego dnia. Nieustępliwość Czołowskiego musiała zadziałać drażniąco na dyrektora Ossolineum, bo pokusił się on jeszcze na wyniosłą odpowiedź mającą charakter pobożnego życzenia, iż Ossolineum rozgłos jest obojętny, gdyż tylko Czołowski ma powód, by się bronić, do czego zostanie zmuszony, jeśli Towarzystwo Historyczne nie rozpatrzy szybko tej sprawy. Aleksander Czołowski raz jeszcze odpisał informując że sprawę powierzył profesorowi Stanisławowi Zakrzewskiemu z TH i że od tej chwili czuje się zwolniony z dalszej korespondencji z Zakładem. Ze strony miejskiego dyrektora było to również pobożne życzenie – Czołowski, owszem zgłosił Zakrzewskiemu problem, ale nie dostarczył materiałów tak bardzo potrzebnych do analizy i oceny tego problemu – mógł więc czekać w nieskończoność na wydanie werdyktu. Po tej listownej wymianie poglądów nastąpiła pewna cisza, ale nie na długo. Pod koniec listopada działo wytoczyła gazeta „Sprawiedliwość” przemianowana w międzyczasie na „Niezależne Radykalne Pismo Tygodniowe Sprawiedliwość”. Gazeta gadzinowa i szmatława wg opinii lwowskiego historyka Mariana Tyrowicza. Celem małego subtelnego ostrzału tego czasopisma okazał się wyłącznie Czołowski. Przypomniano mu różne wpadki podważające jego znawstwo naukowo-kolekcjonerskie, wytknięto działalność zbieracza na urzędzie muzealnika i archiwisty, wreszcie poważono się na insynuowanie mu intencji ratowania własnej kieszeni za pomocą transakcji z Ossolineum. Ale brukowy charakter tego ataku na pewno nie leżał po linii Ossolineum. 16 grudnia, czyli po znacznym przekroczeniu

terminu owego ultimatum postawionego przez dyrekcję Ossolineum, redakcje trzech lwowskich dzienników – „Słowa Polskiego”, „Dziennika Lwowskiego” i „Gazety Lwowskiej” – otrzymały do publikacji komunikat z Ossolineum na temat rzekomego portretu Słowackiego. W ciągu trzech dni wszystkie trzy dzienniki opublikowały to doniesienie. Po pierwsze zawierało ono treść pierwszego pisma Gębarowicza do Czołowskiego, tego w którym kustosz Ossolineum zarzucił Czołowskiemu mistyfikację, po drugie ujawniono ultimatum dane lwowskiemu muzealnikiem, po trzecie podano mętne jego tłumaczenia, iż faktycznie mógł on posiadać oryginał portretu Słowackiego, ale przez pomyłkę przekazał go nieżyjącemu już księciu Ponińskiemu podczas innej transakcji, a obraz przeznaczony dla Ponińskiego sprzedał omyłkowo Ossolineum. Gwoli sprawiedliwości wspomniano również o darze złotego medalu. Rozpoczęcie publicznego pojedynku zaczęło budzić uspione demony. Demony oczywiście miniaturowe, prowincjonalne. Do ZNiO wpłynął donos nadany przez tzw. grono obywateli lwowskich. Czołowskiego określono w nim jako figurę spod ciemnej gwiazdy i bandytę drapującego się w togę uczonego oraz wskazano go jako denuncjatora na rzecz austriackiego wywiadu wojskowego w okresie okupacji rosyjskiej Lwowa. Donos kończył się zdaniem, że ofiarowany złoty medal zapewne pochodzi również z ciemnego źródła i zasługuje na zwrot niegodziwemu darczyńcy. Wróćmy jednak do komunikatu ossolińskiego. „Audiatum et altera pars”, czyli należy wysłuchać i drugiej strony. Z tą łacińską sentencją w tytule Czołowski parę dni później zamieścił na łamach tych samych gazet odpowiedź dla ZNiO. Także i on ujawnił wszystkie informacje, którymi posługiwał się w korespondencyjnej dyskusji z Ossolineum. Nieco złośliwie opisał zapał Gębarowicza w dochodzeniu do stwierdzenia o autentyczności portretu, następnie podsumował tę identyfikację jako nic nie wartą, skrytykował też łatwość z jaką Ossolineum zmieniło zdanie na temat obrazu pod wpływem informacji pozyskanej od laika. Przypomniał także opinii publicznej o złotym medalu ofiarowanym Muzeum Ks. Lubomirskich. Swoją wypowiedź zakończył nieco zaskakująco – stwierdził że dowód na to, iż obraz należał do rodziny Machanów nie przeczy temu, że przedstawia Słowackiego, w co Czołowski coraz bardziej wierzy i cieszy się, że na nowo stał się posiadaczem tego dzieła (nota bene do końca życia Czołowski gromadził materiały urzędowo-genealogiczne mające wykazać że Jan Machan nie miał żadnego przedwcześnie zmarłego syna). Ossolineum chyba nie chcąc by ostatnie słowo należało do oponenta opublikowało jeszcze jeden komunikat (w dwa dni później), w którym oświadczyło, iż żaden z przytoczonych faktów przez Czołowskiego nie stoi w zgodzie z prawdą i że Ossolineum na tym kończy tę publiczną dyskusję. Dyskusja ta zakończyła się w wigilię Bożego Narodzenia, zapewne więc święta nie należały do najmilszych dla Czołowskiego, Gębarowicza i Bernackiego. Bardzo ciekawe, może bardziej obiektywne spojrzenie na całą sprawę, ale spojrzenie dyktowane własnymi porachunkami prasowymi dała lwowska „Gazeta Poranna” w ostatnim dniu roku 1927. Warto przytoczyć choćby fragment tej wypowiedzi postulującej zachowanie czci dla autorytetów: *[Ostatnio byliśmy świadkami „budującej” polemiki prasowej między jedną z najczciwocześniejszych instytucji kulturalnych w Polsce a człowiekiem zajmującym niewątpliwie wybitne miejsce w społeczeństwie. Źródłem nieszczęścia było kupno jakiegoś obrazu, pono nieautentycznego. Rzeczy takie są za granicą bardzo częste, ale załatwia się je nie na ulicy, lecz przed ciałem kompetentnym do rozstrzygnięcia podobnych zatargów. Nie wiemy w jakim celu wybrano u nas drogę publicznego skandalu, stwierdzamy tylko, że obie strony wyszły na tem najgorzej, jedna z pieczętką kompromitującego nieuctwa, druga – usiłowanego oszustwa. To jest właściwie*

*demoralizowanie społeczeństwa, najgroźniejsze, bo uderzające w podwaliny dobrych obyczajów...].*

Choć w podsumowaniu obu stron użyto zbyt ostrych ocen, może ten tekst był i tak najtrafniejszą pointą tego sporu. Na domiar 11 stycznia 1928 r. radykalna gazeta „Sprawiedliwość” opublikowała przeprosiny dla Czołowskiego za publikację trzech nieprzyjaznych mu artykułów w sprawie portretu. Wycofała wszystkie zarzuty i uwagi pod wpływem nowych argumentów, bliżej tu nieznanymi. Wiadomo też, że Czołowski bezskutecznie usiłował wyegzekwować werdykt od Towarzystwa Historycznego, które jednak starało się uchylić od tego przykrego zlecenia. Ostatecznie doszło do mediacji, o której wiadomo już bardzo niewiele. Na mediatorów wybrano dyrektora szkolnego i radnego miejskiego prof. Michała Lityńskiego oraz Karola Badeckiego. Badecki bardziej wtajemniczonym mógł się wydawać złym kandydatem na bezstronną osobę, gdyż był podwładnym Czołowskiego, jego zastępcą w Archiwum Miejskim. Ale Badecki był też miłośnikiem Ossolineum, jak też pewnego rodzaju antagonistą Czołowskiego na polu metodyki archiwalnej. W następnych latach dojdzie między nimi do ostrych publicznych polemik. W każdym razie mediacja chyba odniosła dobry skutek. Może jej dalekim echem był spektakularny obrót w relacji Czołowski-Ossolineum. W 1936 r. dyrektor muzeów lwowskich ofiarował Ossolineum swój zbiór rękopisów, bagatela – 2500 jednostek. Czołowski jednak nie byłby sobą, gdyby nie wykorzystał przy tym okazji do rozpuszczania złośliwych plotek na temat Badeckiego, rzekomo krytykującego jego decyzję oddania rękopisów do Ossolineum zamiast do instytucji miejskiej. Badecki poczuł się dotknięty i próbował dementować te pogłoski, jednocześnie przypominając krzywdę moralną, jaką wyrządził Czołowski Ossolineum sprzedając fałszywy portret Słowackiego. Aleksander Czołowski umiał z przyjaciół robić sobie wrogów i odwrotnie, trzeba to przyznać. Została po tym pamiątka – złoty medal, za którym kryje się mała, trochę nieczysta gra nadziei, ambicji i walki o honor. Medal jest dwustronny jak jego dawny właściciel, ale tylko numizmat prezentuje się dobrze z obu stron.

Sprawa z Czołowskim nie była jedyną gorzką pigułką jaką musiało przełknąć Muzeum Ks. Lubomirskich w okresie międzywojennym. Trzy lata później znowu z powodu Muzeum zrobiło się głośno w prasie lwowskiej. Choć tłem historii jest przestępstwo, to jednak ciężar gatunkowy wydarzenia jakby lżejszy. Na pewno lżejszy dla samego kierownika Muzeum Lubomirskich, Mieczysława Gębarowicza, który podczas tych wydarzeń był nieobecny we Lwowie. Przebywał na urlopie naukowym lub wypoczynkowym we Włoszech. W przeciwieństwie do pierwszej poruszonej wyżej sprawy Ossolineum nie wzbogaciło się o eksponat, ale zostało pod tym względem niestety dość dotkliwie zubożone.

Otóż wyszło to na jaw 3 lipca 1930 r. Stało się to przypadkowo. Pracownica Muzeum Helena Blumówna, 26-letnia podwładna i można powiedzieć, że już prawa ręka Gębarowicza, wykonywała pewną kwerendę numizmatyczną na samej wystawie numizmatycznej na parterze. Przeglądając numizmaty zajrzała również do stojącej przy oknie szklanej gabloty z orderami i zauważyła że gablota ma oderwany zamek i brakuje w niej krzyża kanonickiego po ks. kanoniku Franciszku Siarczyńskim, pierwszym dyrektorem Ossolineum w latach 1827-1829. Czym był taki krzyż kanonicki zwany inaczej dystynktorium? Był to rodzaj odznaki, jaką otrzymywał kanonik każdej kapituły. Dystynktoria powstały z inspiracji Orderem Orła Białego ustanowionym przez Augusta II Mocnego – o tym orderze będzie jeszcze mowa. Krzyże kanonickie wyglądem często nawiązywały do królewskiego orderu, a więc na awersie ich

widniał Orzeł Biały. Rzadko pojawiają się na dzisiejszych aukcjach numizmatycznych i falerystycznych. O funkcjonowaniu tych odznak w XVIII wieku pisał Jędrzej Kitowicz więc na chwile oddam głos temu niezrównanemu świadkowi obyczajów tamtych czasów: *[Kanonicy wszystkich katedr już za czasów Augusta III zyskali distinctoria: jest to orderek mały, wiszący z szyi na piersiach, na rokiecie, a gdy się bez niej znajduje kanonik za kościołem, na spodniej sukni. Ten orderek, czyli gwiazda, pospolicie z tombaku żółtego, a u majątniejszych ze złota zrobiony, szmelcem różnego koloru powleczone, wyraża na jednej stronie orła białego, herb krajowy, na drugiej patrona katedralnego kościoła. Gdy te ordery nastały, zrazu noszono je na wstążkach czerwonych, błękitnych, fioletowych lub innych kolorów według ustanowienia każdej kapituły. Takie distinctoria na wstążkach dawane bywają nowym kanonikom z kapitułarza, którzy własnych nie mają, z obowiązkiem powrócenia ich, po śmierci lub wyńsieniu z katedry, do kapitułarza. Lecz że wstążki często się darty i płowiały, a takimi będąc nie bardzo się lśniły, więc powoli kanonicy, przejmując modę od opatów klasztornych i biskupów, na łańcuszkach złotych lub suto pozłacanych krzyże swoje noszących, oni także distinctoria pozdejmowali z wstążek, a zawiesili na łańcuchach. Że distinctoria jednak powagę i poszanowanie większe dla zaszczyconymi nimi, przeto wielu księży starało się o kanonie przynajmniej tytularne, gdy do aktualnych domieścić się nie mogli, aby tylko piersi swoje łańcuchem i orderem przyozdobić mogli].* Wróćmy na chwilę do osoby samego Siarczyńskiego. Był on proboszczem w Jarosławiu i kanonikiem niejednej kapituły. Najwyższą godnością jego była honorowa kanonia warszawska, otrzymana w 1791 r. Jej dystynktorium ksiądz kanonik nosił godnie. Kiedyś pewnego celującego ucznia jednej ze szkół parafialnych, które Siarczyński wizytował, wyróżnił specjalną odznaką, życząc mu wskazawszy na swe dystynktorium, aby i jemu przypadła kiedyś taka odznaka w udziale. Na chłopcu zrobiło to tak duże wrażenie, że długo nosił się z zamiarem wstąpienia do stanu duchownego. Ostatecznie został poetą, działał jako spiskowiec w Galicji, walczył w powstaniu styczniowym – chodzi o mało znanego Aleksandra Morgenbessera. Wracając do Siarczyńskiego – on właśnie w stroju i dystynkcjach kanonika warszawskiego urzędował jako dyrektor Ossolineum, nota bene pełniący ten urząd bez żadnego wynagrodzenia. Kanonicy warszawscy konwentualni mieli wręcz nakaz dbania o splendor ubioru również poza kapitułą – Siarczyński jako kanonik honorowy być może pragnął demonstrować pewną jedność z gremium kapituły. W takim stroju uwiecznił go m.in. nieznanymi malarz, ok. 1829 r. Pod szyją ks. Siarczyńskiego widzimy fragment zawieszzonego na łańcuchu dystynktorium. Po śmierci księdza jego krzyż kanonicki trafił do Ossolineum odebrany przez samego kuratora ks. Henryka Lubomirskiego. W urzędowym dzienniku Ossolineum zapisano, iż krzyż jest ze złota. Coś musiało wzbudzić wątpliwości, gdyż z polecenia deputata stanowego Tadeusza Wasilewskiego oddano dystynktorium do ekspertyzy jubilerskiej. Okazało się, że krzyż jest tylko pozłacany, kółko do zawieszki sporządzone z tombaku i tylko kłamra łańcucha wykonana została ze złota. Wyszło więc na jaw, iż w rzeczy całej tej chodziło o imitację złota, imitację tak typową dla tamtych czasów, jak można było dowiedzieć się już od Kitowicza. W czasie otrzymania dystynktorium Siarczyński nie należał do zamożnych duchownych, stał się dopiero w miarę bogaty dzięki probostwu jarosławskiemu, ale raczej nie był wielbicielem zbytku, a jego liczne wydatki szły w większości nie na jego osobiste potrzeby.

Po ekspertyzie jubilerskiej dystynktorium wróciło na chwilę do rąk ks. Lubomirskiego, by następnie, jeszcze raz, tym razem oficjalnie, bardziej uroczyście, zostać przekazane na własność Ossolineum przez siostrę zmarłego księdza - Joannę Gołaszewską. Po prawie stu



latach krzyż przestał być własnością Ossolineum dostając się w ręce złodzieja. Po odkryciu włamania reakcja ZNiO była natychmiastowa. Dyrektor Bernacki nadał komunikat do agencji prasowych z informacją o kradzieży zabytku i prośbą o ostrzeżeniu lombardów, jubilerów i innych kupców przed nabyciem skradzionego krzyża. I tu korespondencja dot. sprawy przynosi pewną niespodziankę. Otóż Zakład zgłosił włamanie policji i sprawę przejęto dwóch funkcjonariuszy. Bernacki przekazał policji opis skradzionego krzyża, opis sporządzony na podstawie gipsowego biustu Siarczyńskiego znajdującego się w Muzeum Lubomirskich. Popiersie to powstało późno, raczej dopiero po otwarciu Muzeum w 1870 r., a może nawet jeszcze później, np. w XX wieku. Ale na tym popiersiu krzyż kanonicki nie jest tym samym, który jest widoczny na portrecie Siarczyńskiego, malowanym z natury. Mała konsternacja. Krzyż w rzeźbie wyraźnie przedstawia Orła Białego na awersie, na obrazie zaś wyraźnie go nie ma. Tak w całości wygląda krzyż kapituły warszawskiej z przełomu XVIII i XIX w. Skoro biust jest wtórnym przedstawieniem w przeciwieństwie do obrazu, to dlaczego na jego podstawie opisano wygląd dystynktorium? Jest to wyraźna poszlaka wskazująca, że krzyż kanonicki po Siarczyńskim nie był tym, którego nosił, a więc krzyżem kapituły warszawskiej. Statut tej kapituły nakazywał zwrot dystynktorium po śmierci kanonika. Generalnie statut każdej kapituły nakazywał to samo, ale doszło tu do pewnego szczególnego zbiegu okoliczności. Mianowicie, na niedługo przed śmiercią Siarczyński otrzymał honorowy tytuł kanonika przemyskiego. I właśnie tej kapituły dystynktorium nosiło Orła Białego na przodzie. To tyle w kwestii atrybucji skradzionego krzyża. Powróćmy do bardziej bieżącego problemu. Dwa dni po wykryciu kradzieży wprowadzono nową instrukcję bezpieczeństwa przeznaczoną dla woźnych muzealnych. Poprzednia z 1924 r. była mało precyzyjna, nakazywała dozór nad zabytkami ekspozycyjnymi, ale nie ustalała szczegółowej zasad tego dozoru. Nowa instrukcja zobowiązywała każdą osobę rozpoczynającą zwiedzanie Muzeum do wpisania się do książki zwiedzających. Woźny po obejrzeniu przez zwiedzających wybranej sali, miał ją zamykać po wpuszczeniu do następnej. Zamówiono do biur muzealnych, w których mieściły się również ekspozycje, specjalne rozsuwane kraty. Jak już wspomniano Gębarowicz przebywał wtedy za granicą. Na temat włamania otrzymywał wiadomości m.in. od dyrektora i Heleny Blumówny. Informował go też i pocieszał w swoisty sposób sekretarz administracyjny ZNiO Stanisław Olexiński, pozostający z Gębarowiczem na oficjalnej stopie, ale pełnej wzajemnej sympatii i szacunku. Olexiński przejętemu Gębarowiczowi radził nie martwić się zbytnio sprawą, bo sprawa, jak to określił, nie wzbudziła w Zakładzie ani w szerszych kołach żywszego zainteresowania, a sam krzyż nie jest przecież stratą, której przeboleć nie można. Taki komentarz usłyszał Gębarowicz od Olexińskiego, prywatnie wielkiego miłośnika sztuki i zbiorów. Na koniec sekretarz dodał, że najbardziej wszystkim przejęta się Blumówna, która już zdążyła odzyskać równowagę psychiczną. Miał rację Olexiński pisząc 17 lipca w liście, że wyznaczenie nagrody za znalezienie krzyża nic nie pomoże. Ale mylił się co do wagi sprawy, ponieważ jeszcze może nie wiedział, a co już było wiadomo od 15 lipca, a więc po 12 dniach od wykrycia sprawy, że dystynktorium nie było jedyną stratą. Przeprowadzono skontrum uszkodzonej gabloty i stwierdzono że brakuje również innego, znacznie cenniejszego materialnie zabytku – Orderu Orła Białego po księciu Jabłonowskim. Co ciekawe o wyniku skontrum Blumówny pierwszy dowiedział się Olexiński, może więc zataił przed Gębarowiczem stratę, nie chcąc mu psuć doszczętnie urlopu, a może jeszcze się łudził, że brak orderu nie jest powiązany z kradzieżą. Ale był i była to znacznie cięższa strata. Order Orła Białego był pierwszy

polskim orderem państwowym, do dziś jest najważniejszym polskim orderem. Ustanowiony w 1705 r. przez Augusta II, początkowo przyjął formę medalu, a od 1713 r. postać dwustronnego krzyża maltańskiego, a więc ośmioramiennego, z Orłem Białym na awersie. Order w okresie upadania Polski stanowił instrument gry politycznej. W celu pozyskania sojuszników odznaczano nim zarówno prawdziwych patriotów i mężów stanu, jak i zdrajców lub wrogów ojczyzny. Order nadawany był przez króla Polski, ale odznaczeni mogli np. zamówić materiał, z jakiego miał on być wykonany. Dlatego niektóre ordery dekorowane były licznymi brylantami. Przykładowo egzemplarz z czasów Stanisława Augusta, wysadzany ok. 40 brylantami został sprzedany w 2015 r. na londyńskiej aukcji „Morton and Eden” za 70 000 funtów. Podstawowy garnitur brylantów 2-karatowych w liczbie 8 posiadał order skradziony w 1930 r. należący do Muzeum ks. Lubomirskich od 1904 r., dzięki darowi księżnej Ludgardy Jabłonowskiej. Był to więc urzędowy egzemplarz orderu, otrzymywany od króla za darmo bez dodatkowych, znacznych opłat za upiększenie go przez złotnika. Trudno uściślić do którego z książąt Jabłonowskich pierwotnie należał, dociekanie tego to osobne zagadnienie do podjęcia. W każdym razie order ten zniknął z gabloty i jeszcze Ossolineum nie zdążyło zgłosić policji tej straty, kiedy 18 sierpnia otrzymało powiadomienie od wydziału śledczego policji lwowskiej o ujęciu sprawców kradzieży i odzyskania pewnych części skradzionych zabytków. W celu rozpoznania obiektów, jak i konfrontacji ze złodziejami, oddelegowana została Blumówna, osoba najlepiej zorientowana w sytuacji. Na miejscu okazało się, że udało się odzyskać z lombardu łańcuch po krzyżu kanoniczym Siarczyńskiego. Ciekawe, że został nabyty jako rzecz wykonana ze szczerego złota. Sprawcami kradzieży okazali się 4 młodzi ludzie, gimnazjaliści w wieku 20-21 lat. Jednego z nich Blumówna poznała podczas tej konfrontacji. Młoda pracownica Muzeum nie omieszkała w swoim sprawozdaniu stwierdzić, że: *[wtedy też poznaliśmy jednego złodzieja, b. przystojnego młodzieńca i bardzo elegancko ubranego. Zrazu było mi przykro, że chłopak z porządnego domu stał się złodziejem, ale z takiego gatgana już nic nie będzie, gdyż w sposób bezczelny starał się mnie w błąd wprowadzić, gdy opisywałam krzyż kanoniczy i krzyż orderu.]* 2 dni później Muzeum odebrało łańcuch, który był lekko uszkodzony. Śledczy prowadzący te sprawy ujawnił wyniki dochodzenia. Wypadki miały następujący przebieg. Na początku maja czterej panowie złodzieje byli oprowadzani przez woźnego po wystawie. Młodzi ludzie weszli w dyskusję z woźnym na temat oglądanej zbroi i zaczęli mu wmawiać, że pochodzi ona z innego wieku, niż się tu podaje. Tak skutecznie mu zakręcili w głowie, że ten poszedł do biura dowiedzieć się więcej na temat eksponatu (Blumówna pisała w sprawozdaniu że na początku nie mogła ustalić, który woźny był aż tak naiwny). Podczas nieobecności pracownika Muzeum gimnazjaliści uszkodzili gablotkę i wyjęli z niej Order Orła Białego. Następnie poprzesuwali inne obiekty, by zamaskować brak zabytku. Po wyjściu z Muzeum wyłuskali brylanty z krzyża i pozostawiali je w paru lombardach, nie uzyskując jednak za nie wysokich sum. Nota bene żaden z brylantów nie został jeszcze odzyskany, 2 brylanty nie zostały jeszcze w ogóle namierzone. Złodzieje rozzuchwaleni swoim wyczynem, który nie został wcale wykryty, powrócili do Muzeum w dn. 28 czerwca i ponownie włamali się do tej samej gabloty, kradnąc tym razem dystynktorium Siarczyńskiego. Tak przedstawiały się ustalenia policji, które zostały podane w wątpliwość przez Blumównę. Nie mogła ona uwierzyć, że przez tak długi czas strata Orderu Orła Białego pozostawała niezauważona, na jej niewiarę wpływał fakt, że sprawcy mocno plątali się w swoich zeznaniach. W każdym razie udało się ustalić, że tym nieszczęsnym woźnym, który dał się

zmylić, był stary Stefan Horodyski, o którym Gębarowicz wkrótce napisał w uwagach dla dyrekcji, że woźny ten jest już zniedołężniały i głuchawy. Człowiek ten bardzo się przejął swoją winą, zwłaszcza po tym, gdy księżna Eleonora, żona kuratora Ossolineum Andrzeja Lubomirskiego powiedziała, że zapewne woźny był w zмовie ze złodziejami. Blumówna pisała, że: *[ze Stefanem trudno o tem mówić, gdyż płacze, chodzi jak zmora, odgraża się, że sobie życie odbierze]*. Rzeczywiście było nad czym płakać. Złodzieje okazali się kompletnymi amatorami, którzy barbarzyńsko obeszlą się z zabytkami. Krzyż kanoniczy uznając za materialnie bezwartościowy wrzucili do jakiegoś ustępu, Order Orła Białego zaś po wyłamaniu brylantów stopili. Po zwrocie samego łańcucha kanoniczkiego priorytetem w tej sytuacji stało się odzyskanie wyjętych brylantów – w sprawę zaangażował się sam kurator literacki Ossolineum mając do pomocy Gębarowicza i Olexińskiego. Poszukiwanie to zakończyło się ćwierć-sukcesem. A jak na to wszystko patrzyła prasa? Oczywiście roztrąbiono się na ten temat. Kradzież ta nawet figuruje w najnowszym, bardzo szczegółowym kalendarium międzywojennego Lwowa wydany przez Agnieszkę Biedrzycką w 2012 roku. Podstawą źródłową dla tego kalendarium była właśnie prasa. Jak już wspomniałem Ossolineum przekazało informację o krzyżu kanonicznym agencjom prasowym. Od 6 lipca zaczął się pojawiać ten komunikat w lokalnej prasie lwowskiej. Surowość oraz ignorancję prasy Ossolineum odczuło dopiero po rezultatach śledztwa policyjnego, czyli po 20 sierpnia 1930 r. Przykładowo 21 sierpnia warszawski „Kurier Poranny” dzięki telefonowi lwowskiego korespondenta poinformował opinię publiczną o dwóch kradzieżach w Muzeum Lubomirskich, oskarżając Muzeum w sprawie Orderu Orła Białego o zaniedbanie zawiadomienia policji. Jednocześnie „Kurier” napisał, iż chodzi o order z czasów Zygmunta Augusta! Najbardziej jednak gazeta była zbulwersowana faktem, że sprawcy włamania to tzw. „złoci młodzieńcy”, znani dobrze z lwowskich restauracji i kawiarni, synowie zacnych, zasłużonych lwowskich obywateli i urzędników. Nie miał jednak „Kurier” współczucia dla owych ojców, których nazwiska zostały tak bardzo skompromitowane, ponieważ sama gazeta ujawniła z imienia i nazwiska przestępców. Do kolejnego zabawnego pomieszania faktów w kwestii samego zabytku doszło na łamach lwowskiej „Gazety Porannej”, która napisała, że brylanty wyłamano z krzyża kanonicznego Siarczyńskiego. Z kolei gazeta „Wiek Nowy” napisała o kradzieży w Muzeum „Ossolińskich”. „Ilustrowany Kurier Codzienny” pod ciekawym tytułem „Szajka pozłaczanych młodzieńców” oraz „Lwowski Kurier Poranny” również przytoczyły twierdzenie o grabieży orderu z czasów Zygmunta Augusta. „Lwowski Kurier” uznał, że wiadomość o kradzieży należy do tych, które wysuwają się ponad szarżyznę ostatnich dni. Ossolineum chyba najbardziej dotknęła omyłka w sprawie chronologii orderu Orła Białego. Każdy znawca falerystyki czy numizmatyki, czy też po prostu ktoś bliżej zorientowany w polskiej historii, wiedział, że pierwszy polski order pochodzi z XVIII w. nie licząc dwóch nieudanych prób ustanowienia orderu za czasów Władysława IV Wazy i Jana III Sobieskiego. Ale z czasami Zygmunta Augusta to była naprawdę gruba przesada, mogąca sugerować, że to Ossolineum jest autorem takiej atrybucji zabytku. Taka sugestia oczywiście kompromitowałaby Zakład Narodowy i stąd zapewne duże niezadowolenie Heleny Blumówny z takiego obrotu informacji prasowych. Przyjrzyjmy się jeszcze temu co ocalało. Dla tych smutnych fragmentów czy szczątków los okazał się mało łaskawy. Łańcuch oraz dwa brylanty z odzysku trafiły jako własność Ossolineum do Wrocławia, prawdopodobnie w 1953 r. dzięki zapobiegliwości Mieczysława Gębarowicza. Niestety – w 1974 r. Ossolineum jako placówka PAN przekazała je w darze do

Kórnik, kolejnej placówki panowskiej. Uzasadnieniem był jubilerski charakter zabytków rzekomo nie pasujący do profilu zbiorów Gabinetu Numizmatyczno-Sfragistycznego, rzekomo również nie było fachowych sił do konserwacji tego typu zbiorów, tak więc wspomniane eksponaty weszły na większą listę zabytków oddanych do Kórnik. I tam zaszła kolejna sprawa wieńcząca niefortunną historię tych dwóch zabytków. Otóż stan zachowania owych brylantów wzbudził pewne wątpliwości co do ich autentyczności. Zamówiono ekspertyzę znanej, poznańskiej spółdzielni jubilerskiej „Juwelia”, która badanie wykonała w 1978 r. na terenie Muzeum w Kórniku. Okazało się, że brylanty są tylko zwykłymi imitacjami, a więc kolejny zabytek dał się poznać od strony swych pozorów. Pozory więc odegrały w 1930 r. fatalną rolę wabika dla okazyjnych złodziei. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że podpisy które widniały pod zabytkami w gablotach w 1930 r., albo nie mówiły o materiale zabytków, albo określały go nie właściwie. Gdyby opis obiektów był rozwinięty i prawidłowy, może by zapobiegł pokusie, ale może przeniósłby ją na inne, naprawdę cenne materialnie obiekty, znajdujące się w gablotach obok. Mam tu na myśli złote staropolskie monety czy medale. Co z dwojga złego byłoby lepsze – kradzież dwóch cennych historycznie pamiątek, czy np. dwóch cennych majątkowo obiektów numizmatycznych, które i tak nie trafiły później do zbiorów wrocławskiego Ossolineum? Tę kwestię pozostawiam bez odpowiedzi, na koniec chciałbym podziękować kustoszom i kolegom z Działu Numizmatycznego: Elżbiecie Baran, Adamowi Deglerowi i Łukaszowi Koniarkowi oraz kustoszowi z Działu Sztuk, Leszkowi Machnikowi za wszelką pomoc uczynioną mi na potrzeby tego wykładu.